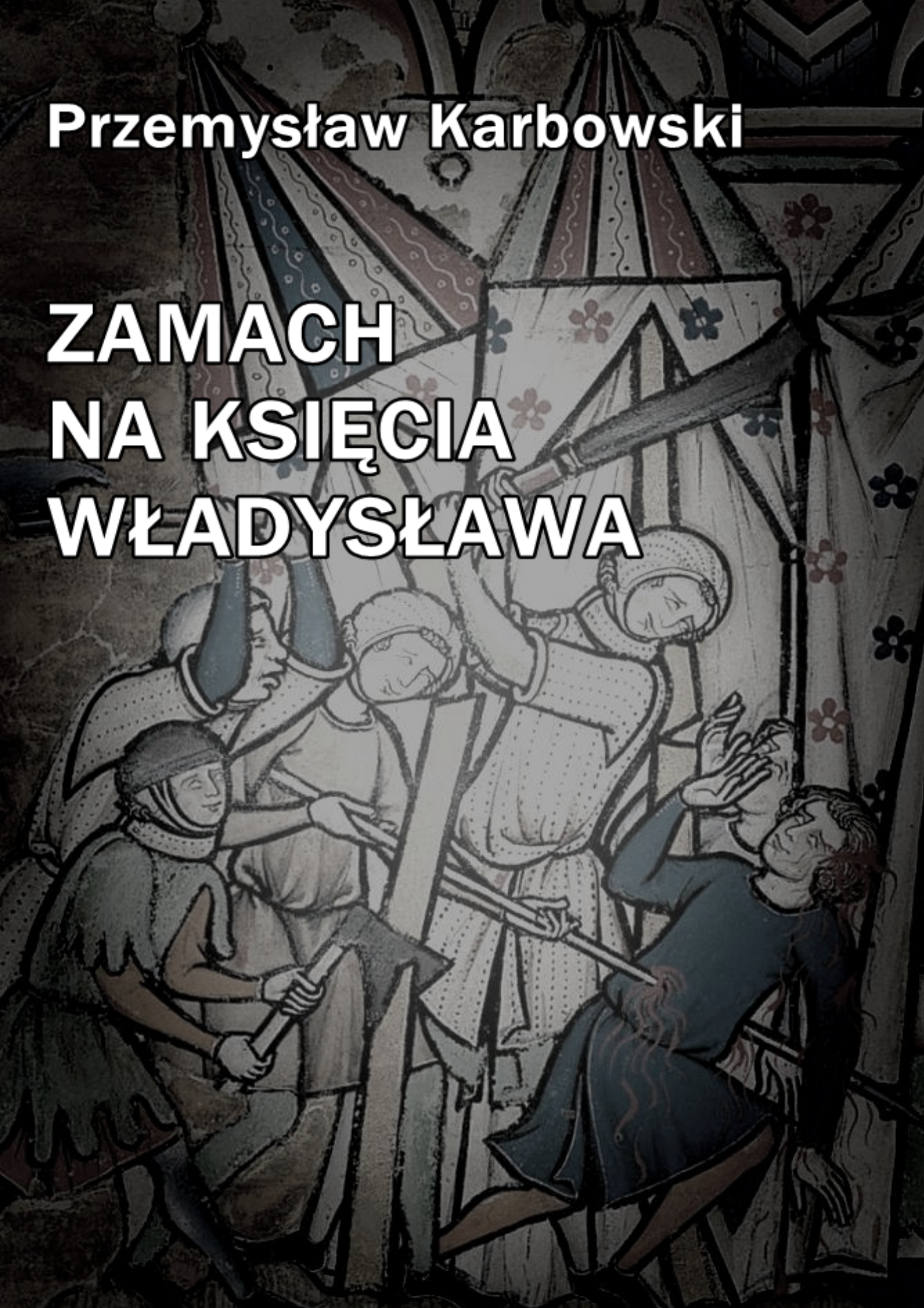


Przemysław Karbowski

**ZAMACH
NA KSIĘCIA
WŁADYSŁAWA**



ZAMACH NA KSIĘCIA WŁADYSŁAWA

Copyright © Przemysław Karbowski, 2022

Na okładce wykorzystano grafikę z Biblii Maciejowskiego

Próżno było w okolicy szukać karczmy tak zacnej jak ta w Kobylnikach, przy trakcie na Głogów. Mało, że stan miała na pół setki koni, ławy do spania i przypiecek, to jeszcze dwa alkierze dla wielkich panów, w których jeść i pić mogli swobodnie, oczu nie kalając widokiem pospółstwa. Do tajnych narad i knozań zajazd pasował jak ulał, bo alkierze w rogach oberży były tak bez okien, jak i bez zejścia do piwnicy czy poddasza nad powałą, stąd niebezpieczeństwo, że w niepowołane uszy wpadnie, o czym tu się radzi, było znikome.

Owego mroźnego styczniowego wieczora Roku Pańskiego 1272 w jednej ze wspomnianych izb narożnych właśnie odbywała się takowa narada między wojewodą poznańskim Przedpełkiem, Jankiem z Zarembów, który sprawował kaliskie kasztelaństwo oraz Nawojem i Boguszem, dwoma wielkopolskimi rycerzami. Pieczone kapłony i dziczyznę przepijali cysterskim piwem, co i rusz donoszonym przez głuchego i niemego pacholika, niegdyś przygarniętego przez karczmarza, który nie tyle przejął się smutnym losem zezowatej niemoty z jęzorem wywalonym do samej brody, co wyczuł, że z nieszczęśnika zrobi swoje popychłę jak najmniejszym kosztem, czyli wiktem i kątem do spania w przysieni.

- Za szybkośmy ten zaciąg na Brandenburów ogłosili. - Kręcił głową Przedpełk. - Miała być lekka zima, a my tu do marca z zasp się nie wygrzebiemy. Rycerstwo żreć coś musi, a książęca sakiewka nie jest bez dna.

- Każdy żreć coś musi - zauważył Bogusz. - Do domów panów rycerzy teraz nie wygonimy, bo się już rozłożyli nielichym obozem. Ich czeladź ma wolną rękę w polowaniu, na śniegu trop zwierza jak na dłoni, przewodników po puszczy im damy, może się sami wyżywią?

- Sami! - parsknął kaliski kasztelan, aż się opluł piwem. - Książęcym jeleniem i dzikiem? Toście wydumali...

- Wydumajcie coś lepszego! - zaperzył się Bogusz.

- Spokój! - Przedpełk walnął pięścią w stół.

Przez dobrą chwilę tylko jedli i pili, aż odezwał się Nawoj.

- Zali prawda to, że ten gówniarz ma dowodzić wyprawą na Brandenburów?

Wojewoda zgromił go wzrokiem.

- Trzymajcie pysk na wodzy, mości rycerzu - wycedził. - To jest z bożą pomocą przyszedł król Polski, miłościwie panujący twoim dzieciom i wnukom Przemysł! Że ma dopiero piętnaście wiosen? Leszek zwany Białym pod Mozgawą miał ledwie dziesięć z okładem a dowodził...

- Wstydu nie macie, wojewodo. - Janko Zaremba splunął kością na glinianą polepę.
- Takie bajędy powtarzać. Dowodził... Chyba własnymi smarkami z nosa. Przecież Leszka pod Mozgawą w ogóle nie było!

Przedpełk spurpurowiał, ale nie w głowie mu było kontynuować słowną przepychankę.

- Dobra. - Machnął pojednawczo ręką. - Radźmy o tym, co ważne, na opowieści sprzed lat jeszcze przyjdzie czas. Jak pognębić tego opolskiego pyszałka? Podobno urobiliście papieskiego legata?

- Legat, owszem, fałszerstwo gotów jest zatwierdzić. - Ociągając się rzekł Bogusz. - Ale nie za darmo. Jak podał sumę to małośmy z zydli nie pospadali. I tak nam do głów przyszło, że po co mamy cudować i dumać, jak tu Władysława pozbawić wszystkich tytułów i wyciągać Bóg wie skąd jakiegoś zaginionego rzekomego syna grubego Mieszka, święć Panie nad jego duszą, jak możemy tak zwyczajnie...

- Są jeszcze tacy, co Mieszka pamiętają - wtrącił się Nawoj. - Osobliwie jego tuszę i to, że zmarł bezdzietnie, bo z takim bebechem na niemożebność zakrawało, żeby wlaź na białogłowę. Pokażemy światu pergaminy z papieskimi pieczęciami, że oto znalazł się synowiec Władysława, który dziedziczy i wszelkie zaprzeszłe testamenty można sobie w onuce włożyć, a któż zaręczy, że Władysław nie potrząśnie legatowi przed ślepiami kieską, a ten mocą urzędu potwierdzi, że to co fałszywe jest w istocie fałszywe?

Zezowaty młodzian postawił na stole półmisek z sarnim udźcem i przycupnął przed alkierzem, czekając na skinienie wielkich panów.

- Napytlowaliście się jak baby na jarmarku. - Wojewoda odkroił kawał mięsiwa. - A starczyłyby trzy słowa: trzeba zacukać Władysława. Człowieka macie?

- Mamy - potwierdził Bogusz. - To jeden z myśliwych, który łowi zwierzynę dla rycerstwa. Porachunki z Władysławem ma jeszcze z Kalisza, księżę wtrącił mu brata do ciemnicy. Nie raz do brudnej roboty go braliśmy, izby rycerskich rąk sobie nie upaprać.

- Kwiat z was rycerstwa, niech mnie pokręci! - zaśmiał się kasztelan Janko. - Trafi do Żor ten wasz zamachowiec?

- Dostanie przewodnika - mruknął nieco urażony Nawoj. - To pewny człek. Pojutrze wraca z Rzeszy.

- Dlaczego do Żor? - zdziwił się Przedpełk. - Gdzie to w ogóle jest?

- Między Rowniem a Osinami, mówi wam to coś? - z przekąsem zapytał Bogusz. - Władysław upodobał sobie Żory, a że wieś należy do niejakiego Chwalisza, to w zamian

wciśnie mu jakąś własną wioskę, a z Żor uczyni miasto. Na luty szykuje lokację. Trzeba go zabić tuż przed uroczystością albo zaraz po. Ma się stawić osobiście.

– Co można sobie upodobać w jakiejś wsi, czego nie ma w Opolu albo Raciborzu? – głośno dumął kasztelan kaliski. – Mieszka tam jakaś dziewczyna niezwyklej urody?

– Niezupełnie – uśmiechnął się pod wąsem Nawoj. – Ale jest tam karczma z najlepszą jajecznicą z miodem w całym księstwie. Żorskie pszczoły ponoć miód robią lepszy niż te mazurskie. Ilekroć Władysław przejazdem w Żorach, zjeżdża do onej karczmy i się w niej stołuje.

Przedpełk dopił piwo, aż się zakrztusił drożdżami z dna cynowego kubka.

– Zęby zjadłem na wrywaniu tym śląskim Piastowiczom po kawałku wielkopolskiej ziemi – zacharczał. – Zawsze wiedziałem, że coś z nimi nie tak. Już nie o to idzie, że się raz trzymają czeskiego strzemia, raz za Węgrem gardłują, a raz niby tacy ważni, że ruskie trony obsadzać będą, ale że z powodu jajecznicy gotowi są miasta lokować, to już mój rozum przekracza... Mniejsza o tym. Jak już się pozbędziemy Władysława, to czeskiemu Ottokarowi mina zrzędzie, bo już miał mu krakowskie księstwo stręczyć i kręcić nim jak garnkiem na kole, a wie dobrze chytry lis, że Kraków tyleż ważny co Poznań. Bo jak jest Polska w dwojakim znaczeniu wąskim, czyli Wielkopolska i Małopolska, tak też z połączenia obu wynika Polska w znaczeniu szerokim. Zatem, jeśli kto tron poznański, kaliski, krakowski i sandomierski połączy w jeden, znów nastanie Polska wielka i silna. To i może król Bolko o krzywej gębie przestanie się w grobie przewracać, jak już się uporamy z tym pasztetem, który nam zgotował, dzieląc kraj między synów... Powiadam wam, jeno młody Przemysł na króla się nadaje i on nim będzie!

Mądrego dobrze posłuchać, więc słuchali tego wywodu Nawoj, Bogusz i kasztelan Janko z Zarembów. Przedpełk od cysterskiego piwa miał już dobrze w czubie, ale nie przyznał się, że powtarza słowo w słowo to, co kiedyś usłyszał od niejakiego Jakuba Świnki, przyszłego arcybiskupa gnieźnieńskiego.

Niestety, nie oni jedni słuchali się wzajem tego mroźnego styczniowego wieczora. Uczestnicy tajnej narady dawno już pospali się w alkierzu na przykrytych futrami ławach, a brat Hugon z pobliskiego klasztoru cystersów, dowódca wielkopolskiej siatki szpiegów króla Czech – Przemysła Ottokara, wysłuchiwał relacji pacholika z kobylnickiej karczmy, który jak już język wciągnął do gęby, to odzyskał nie tylko płynną wymowę, ale i wyszło na to, że słuch u niego jak u nietoperza. Nawet zeza już nie miał, tylko prosto wbijał błyszczące ślepia w brata Hugona, pomny, że ten żadnej zasługi nie pozostawi bez nagrody.

Z samego rana z klasztoru w Kobylnikach ruszył przez śnieg umyślny z zaszyfrowaną wiadomością. Był już daleko, kiedy alkierz w wiadomej karczmie jeszcze trząsł się od chrapania.

Czcibor grzebał ożogiem w palenisku, popatrując spode łba na Nawoja i Bogusza. Przywykł już, że mowa rycerzy zwykle gładka była jak policzek dziewczęcia, ale już sklecone do kupy słowa przeważnie w dziwne układały się opowieści. Tak i teraz rycerze przekonywali, że młody Przemysł o tajnej misji nic nie wie, ale jeśli wszystko pójdzie jak po maśle, to i Czcibor zyska i cały bez mała kraj.

- Zasług już macie co niemiara - gadał Nawoj. - Usieczecie Władysława, kto wie, co się wydarzy?

- Lada chwila Przemysł księciem na Poznaniu zostanie - przywtarzał Bogusz. - Najbardziej zasłużonym ziemię nada, może rycerskiego chleba popróbujecie? Przecie ród wasz nie z chłopów, a z zubożałych wiek temu władków.

Zbyt wiele zim widział Czcibor, by go byle pochlebstwem można było znęcić, ale trochę racji dwaj rycerze mieli. Więcej z wyprawy do Żor mogło być korzyści, niżli z odgniatania kości po kurnych chatach i wyczerpujących łowów po puszczech, by wyżywić coraz liczniejsze zastępy rycerstwa, wezwanego do zbrojnej rozprawy z Brandenburgią. Takich jak on Przemysł i wojewoda Przedpełk potrzebowali na równi z wyniosłymi paniętami, z których jedyny pożytek był, gdy zakuli się od stóp do głów w zbroje i stawali do bitwy. Owoż z wrogiem bitka kroila się dopiero, gdy na Brandenburów ruszą. A jeść trzeba było co dzień.

- Zali młody Przemysł nie może pobłogosławić? - spytał Czcibor chrapliwym swym głosem. - Bo nie ze szczętem pojmuję. Jeślibym skrytobójczo Władysława usieknął lubo otruwał, wielka by to była dla odrodzenia królestwa rzecz?

- Prawiście - ociągając się przyznał Bogusz. - Jeno, widzicie, Przemysł to jeszcze pacholę, o polityce mgliste ma pojęcie, brzydzi się skrytobójstwem, knowaniami, ot, dla młodych zwykła to rzecz. Cud boski, że on w siłę walnej bitwy wierzy, a nie w moc samej modlitwy.

- Wy, zasię, nie brzydziecie się - skrzywił się w uśmiechu Czcibor. - I mnie się nie brzydzić?

– Rzekliście. – Nawoj powstał i rozgonił ręką gryzący dym. – Bo tu o dobro kraju idzie, a nie o wydumki przed ołtarzem mamrotane. Samo leżenie krzyżem nic nie da. By na powrót króla zasłużyć, nie raz zgrzeszyć przyjdzie. A martwy Władysław to dla Czechów kłopot, bo prędko drugiego takiego obrotnego na krakowski tron nie znajdą.

Bogusz stanął przy towarzyszu, poprawiając miecz.

– Nikomu pary z gęby – przykazał Czycborowi. – Jeśli Bóg pozwoli i uda się Władysława wyprawić na tamten świat, już my się przy młodym panu razem z Przedpełkiem ujawnimy jako głowy tego planu, i was jako wiernego sługę i naszą rękę przedstawimy. Dość uganiania się po lasach za łosiami i sarnami. Czas upolować księcia. Wyruszacie jutro.

Takie to były czasy, że człek onegdaj mógł panować w Kaliszu, wczoraj w Rudach i Wieluniu, a na dzień dzisiejszy tytułować się księciem Opola i Raciborza. Podobny los, zwyczajny dla piastowskiego bałaganu po rozbiciu dzielnicowym, spotkał Władysława. Nie on jeden kręcił się od księstwa do księstwa, bo a to zmarł krewniak, po którym wypadło dziedziczenie, a to przegnali z książęcego stolca jakiegoś niedołęgę albo czarną owcę w rodzie, a to w wyniku wojenek między Piastowiczami zmieniali się właściciele miast i wiosek, a to małżeńskie koligacje chwiały tytułami i stanem posiadania poszczególnych książąt.

Siedział właśnie książę Władysław w komnacie raciborskiego zamku, klnąc pod nosem niedogrzone mury i szczelnie owijając się niedźwiedzią skórą. Zima nie odpuszczała.

Książęcy doradca i sekretarz w jednej osobie – Dobiesław, skończył czytać Władysławowi list od króla Czech, który, między innymi, zawierał sporo informacji z tajnego raportu brata Hugona. Nie wszystko król Przemysław Ottokar przekazał księciu, w którym, odkąd przeciągnął go na swoją stronę i odwiódł od sojuszy z Węgrami, pokładał nadzieje jako w przyszłym władcy Krakowa, osobliwie nie to, że zamach szykowany na Władysława w istocie rzeczy ma być krwawym sygnałem dla czeskiego monarchy, że Wielkopoleanie sroce spod ogona nie wypadli i mają oko na zakusy Czechów, a i o odrodzeniu wielkiej Polski myśleć nie przestają.

- Ot, poznańskie słowiki w rzyć kopane... - zgrzytnął zębami Władysław. - Ale że na mnie się uwzięli? Tak im na odciski w Kaliszu nadepnałem, że im się zemsta po latach marzy? Przecież tego smarkacza jeszcze na świecie nie było!

- Wasza książęca mość - uspokajającym tonem rzekł Dobiesław. - Przecież tak bezbożnego planu nie wymyślił młody Przemysł! Toż Przedpełk z Jankiem Zarembą kręca młokosem jak chcą! Ich to pewnie sprawka.

Władysław ciężko westchnął.

- I cóż teraz czynić? - spytał doradcę. - Lokacji Żor nie odpuszczę, choćby nie wiem co! Jeszcze tego brakowało, żeby mnie za tchórza mieli!

- Trzeba przykazać, niech w Żorach obcych na oku mają. Wypatrywać wędrownych kupców, pątników, żebraków...

- Ciemnic by mi w jeden dzionek brakło, gdybym każdego podróżnego czy żebraka do nich wtrącał! - zachnął się książę. - A na uroczystość zjedzie się mnóstwo gości, zwłaszcza jak śnieg i zamróż odpuści.

Dobiesław wzruszył ramionami.

- Innej rady nie mam. Polują na ciebie, mości książę, a ty się jeszcze na cel chcesz wystawić. Nieroztropnie... Chociaż... - Sekretarz puknął się w pobrużdżone czoło. - Bywało, że niejeden na łów szedł za zdrowym odyńcem, a na ostatku ubijał zwierza chorego i parszywego, z juchą nadpsutą, którego mięsiwem truł się i konał w męczarniach... Pojmujecie?

Władysław jeszcze nie pojmował, ale nadstawił uszu, wiedziony ciekawością.

Mimo lat, Czycibor odczuwał jednak podniecenie związane z tajną wyprawą, osobiwie, gdy już opuścili ich studzy Nawoja i został samowtór z przydzielonym mu młokosem Gwalbertem, który ponoć w krótkim życiu zdążył już zakosztować i doli mnicha, i giermka, i wędrownego kupca, i poufnego pościańca. Nawojowe sługi mieli przykazane eskortować obu na dzień drogi od Poznania.

Ruszyli konno przez Śląsk, pomni, że w każdej chwili przyjdzie porzucić wierzchowce, kryć się, uciekać, walczyć, by głowę unieść, tudzież udawać. A to chłopskie niemoty, a to żebraków, a to pielgrzymów w pąc do któregoś z nafaszerowanych relikwiami kościołów się udających. Jasnowłosy Gwalbert, któremu sypał się niemrawy zarost, w swej jasności

jeszcze mniej widoczny, popatrywał na mrukliwego zwalistego Czcibora, o którym nasłuchał się od Bogusza i Nawoja nie lada jakich opowieści.

- Wielu ludzi zabiliście? – zagaił niemal wesoło, gdy już skazani byli na swoje jeno towarzystwo.

Czcibor parsknął obruszony.

- Czy ja ciebie, smyku, pytam, ileś pacierzy w życiu odmówił? Lubo ile kęsów chleba zżarłeś?

- Gdzież to porównywać? I jak?

- Zwyczajnie. Jak dla kogoś zabijanie chlebem powszednim, nie będzie przecież trupów rachował. Jeśliś taki mądry jak powiadał Nawoj, to ty mi lepiej powiedz, po co wieśniacy tak się rwą, by ich wiocha w miasto się przemieniła? Zali tam od razu mleko z miodem zaczną płynąć? Toż tylko większe podatki będą płacić. Ci nieszczęśni żorzenie wiedzą o tym?

- Dwojako można na to patrzeć. – Gwalbert zrobił mądrą minę. – Przecie na coś te podatki pójdą. I rynek się wytyczy, i ratusz wybuduje, mury dla bezpieczeństwa postawi. Sąd będzie, iżby z byle pierdołą nie jeździć po innych miastach. Kata się zatrudni ku uciesze gawiedzi, aby pół dnia nie tłuc się do sąsiadów na egzekucję. Korzyści będzie mnóstwo, prawo składu, jarmark, nowe ulice, kamienice. Takie Żory się rozbudują, zjedzie się nowych osadników, będzie ruch i pieniądz, tak to widzę.

- To tam teraz ani ruchu ani pieniędzy?

- Tak źle nie jest, zresztą sami zobaczycie, mają parę osobliwości, których u nas w Wielkopolsce nie uświadczysz.

Czcibor przysnął w siodle, a Gwalbert pomodlił się w duchu, by podróż upływała na takich dysputach a nie na śmiertelnych niebezpieczeństwach. Do Żor był jeszcze szmat drogi.

Minęła połowa lutego, a mróz zelżał jak na wiosnę i wszędzie płynęła woda z roztopionych śniegów, w błocko obracając podmarznięte trakty. Ciepło, owszem, cieszyło ludzi, ale przestach, że śnieg zniknie a znów chwycą potężne mrozy, co niechybnie przełoży się na klęskę nieurodzaju i śmiertelny głód, był silniejszy. Księżu Władysławowi zamrznięcie nie groziło, ale wciąż miał na podorędziu niedźwiedzie futra i grzany miód, zwłaszcza gdy beczynnie siedział i wysłuchiwał raportów. Zwiadowcy z Żor donosili o zwiększonym zamieszaniu, ale zrzucali to na karb odświętnej lokacji nowego miasta,

pomni, że zwykle taka uroczystość przyciąga rzesze złodziei, żebraków, oberwańców, panien publicznych i handlarzy relikwiami, a każdego na mękach wypytać, czy aby nie pofatygował się tutaj z bezbożnym zamiarem zgładzenia księcia-dobroczyńcy, zakrawało na niemożliwość.

– W każdym razie wszyscy silni, zwarci i gotowi. – Wyprężył się przed Władysławem Zbyszko, który służył księciu od czasów władania Kaliszem i powoli piął się w hierarchii książęcych zbrojnych. – Mamy zaufanych ludzi, a i obietnica denara na głowę za istotne wieści robi swoje.

– Zejdźmy może do ćwierci denara – kwaśno mruknął książę. – Bo się motłoch pozabija w wyścigu z istotnymi wieściami...

– Wasza książęca mość, powiedziałem o obietnicy denara na głowę, nie o denarze na głowę...

Książę Władysław pomyślał, że Zbyszko niebezpiecznie szybko wyrabia się politycznie i trzeba mieć na niego oko.

Modlitw Gwalberta Bóg słuchał jakby jednym uchem. Trzy razy ledwo się luźnym kupom uzbrojonego i pijanego pospólstwa wymknęli, życie zawdzięczając chyżości koni. Dwakroć mieczów i toporów musieli dobyć, by rozplatać kilka łbów rabusiów udających rycerzy. Gwalbert sarkał pod nosem na śląskie porządki i mamrotał, że to w Wielkopolsce nie do pomyślenia.

Wraz z porządkami i krajobrazem zmieniała się aura, słońce przyświecało jakby się pomyliło o dwa miesiące z okładem, co cieszyło wymarznięte ciała wędrowców, ale podróży nie ułatwiało.

– Ponoć pamiętacie Władysława jeszcze z Kalisza? – ozwał się Gwalbert, gdy stanęli na spoczynek. – Prawda to, że brata wam wtrącił do lochu?

– Brat mój święty nie był – mruknął cierpko Czcibor. – A Władysława, juści, pamiętam. Za pomagiera łowczych byłem, mięsa na stół mu dostarczałem, płacił niezgorzej.

– I co czujecie, kiedy dumacie, że przyjdzie wam go zabić?

– Nic nie czuję, bo nic nie dumam. A jak ci się zbiera na rozważania o dobru i złu, to wspomnij sobie tę głupią gadkę Bogusza i Nawoja. Że to wszystko dla dobra kraju.

Gdy już tylko niecałe ćwierć dnia drogi konno mieli do Żor, Czcibor z Gwalbertem spieszyli się w osadzie smolarzy, oddając za kilka miedziaków wierzchowce z częścią dobytku i broni pod opiekę przestraszonych mieszkańców. Czcibor zarzucił umorusanych nieszczęśników litanią mąk, jakie im zapewni, jeśli cokolwiek zginie. Miał po cichu nadzieję, że po takiej zapowiedzi chociaż konie nie pójdą na zmarnowanie i przepadek, i uda się je odzyskać.

Czcibor miecz skrył pod opończę, Gwalbert ostawił sobie dwa sztylety, chowając je z widoku pod ubranie. Spojrzeli po sobie. Z sakwami na plecach wyglądali jak zwykli wędrowcy, Gwalberta nawet trudy podróży odrobinę postarzyły i już tak nie rzucał się w oczy gładkością lic i bezczelnością wejrzenia.

Do Żor zdążyli dzień przed uroczystą lokacją. Rozmiękłe drogi i niemal wiosenne roztopy odstraszyły większe rzesze spodziewanych gości, tych mile i tych niemile widzianych. Ledwo weszli do wsi, Czcibor przetarł oczy, pewny, że są już tak stare, iż zwyczajnie go mylą. Nie myliły. Widział jurte... Mało tego, dostrzegł Mongoła z łukiem...

– Na Jezu Krysta, padnij! – ryknął na Gwalberta i, nie czekając aż młodzian padnie, sam obalił go w śmierdzącą gnojem kałużę.

– Czy wyście się szaleju najedli? – warknął przemoczony Gwalbert, gramoląc się z błota.

– Tam! Mongoł!

– Żaden Mongoł. – Gwalbert wzniosł oczy ku niebu. – On tylko Mongoła udaje...

Czcibor osłupiał i przyjrzał się przestraszonemu mężczyźnie przebranemu za azjatyckiego wojownika. Skośnych oczu nie miał, spod czapki wystawały jasne włosy.

– Ki diabeł?

– Żaden diabeł – tłumaczył cierpliwie Gwalbert. – To jeno taka zabawa, ot, żeby zapomnieć o znoju dnia codziennego. Można z łuku postrzelać, w jurcie się przespać, kumysu napić.

– Może jeszcze za pieniądze?

– Za pieniądze, za pieniądze – szczęknął zębami z zimna Gwalbert. – Powrót do dzieciństwa, nie wiem, jak wam to wyłuszczyć? W co się bawiliście jako smarkacz?

– W ogóle się nie bawiłem! Zwykle uciekałem przed ojcem, żeby mnie nie zatłukł trzonkiem od topora, kiedy nabroilem.

– Na pewno w nic się nie bawiliście? – Gwalbert nie dowierzał.

– Bo ja wiem? Chyba w Saracenów i Jeruzalem...

– I co? Jako człek w słusznych latach nie pobawilibyście się teraz w Saracenów? Żeby nie myśleć tylko o bolących zębach i głupiej małżonce?

– Nie mam małżonki – sprostował Czcibor. – Bóg nie dał. Na szczęście...

– Zębów w gębie też wam ze świecą szukać – wyzłośliwił się Gwalbert.

Uszli może ze sto kroków i ujrzeli kolejną żorską atrakcję. Gwalbert, który już tu bywał, zaczął się paskudnie trząść z zimna w mokrym przyodziewku, ale wiedział, że Czcibor za chwilę zapyta o dzieciarnię kręcącą się w kółko na przypominającym kierat wynalazku. Nie mylił się.

– To też zabawa? – Czcibor wskazał palcem dziewczynkę, którą siła odśrodkowa wyrzuciła z przymocowanego do żerdzi zydlu prosto w błoto. Chwilę powrzeszczała, ale kręcący tym dziwnym manieżem chłop wsadził ją z powrotem na zydel. – Zabawa, jako żywo... I łeb można rozwalić, i kark skrócić, nie wierzę...

Gwalbert ponaglił Czcibora, bo chciał mu pokazać ostatnią osobliwość, z której słynęły Żory, to jest wielki bróg, pod którego dachem płonęły trzy ogniska, podsycane przez umyślnie posadzone przy nich niewiasty, dokładające a to smolne szczapy, a to donoszone z szopy opodal suche drwa. Gwalbert złamał na pół cienkiego denara, wręczył najstarszej kobiecie i po chwili z lubością grzał się przy buzującym ogniu, a ubranie schło na nim aż miło.

– Szatas ognia, jedyna niegłupia rzecz. – Czcibor uważył się obok Gwalberta. – Tylko, dalibóg, jak się te nieszczęsne Żory jako miasto rozrosną, to z tych iskier będzie pożar za pożarem!

Karczma przy krakowskim trakcie wyludniała się szybciej, niżli życzyliby sobie tego utrudzeni goście. Ot, po prostu, książęcy wojacy popędzali podróżnych do rozliczeń z oberżystą i zapowiadali, że popołudniem, gdy już skończy się święto przemiany Żor ze wsi w miasto, strawy i noclegu szukać mają w innych zajazdach, bo tu sam Władysław zjedzie na wieczerzę, a żadnych obdartusów i łachmytów sobie do towarzystwa nie życzy.

Gwalbert z Czciborem spoglądali z oddalenia na tę karczemną czystkę, radzi, że lokal zaraz się opróżni i w spokoju zjedzą co nieco.

– Ten pyszałek to Zbyszko. – Czcibor zwrócił uwagę towarzysza na zbrojnego dowodzącego operacją wyrzucania gości. – Mój sąsiad z Kalisza. Do trzech zliczyć nie umiał, a u Władysława za wielką szyszkę robi... Kto by pomyślał?

Zbyszko jeszcze ryknął na córkę karczmarza, żeby omiotła podwórzec, a ta, skonfundowana, stanęła z drapakami w garści i powiodła zrozpaczonym spojrzeniem po bajorze przed karczmą. Jakże toto zamieść?

– Awansował ten wasz dawny znajomek – zamruczał Gwalbert. – Ale czy przesadnie zmądrzał, to bym nie powiedział.

Nie minęło dwadzieścia pacierzy i wielkopolscy zamachowcy stanęli w progu wyludnionej karczmy. Zrazu karczmarz oponował, zasłaniając się książęcymi wytycznymi i zapowiedzią wieczerzy samego Władysława, ale uległ i spokorniał, gdy mu Gwalbert do łapy wcisnął pomorskiego dwudenara z zaleceniem, żeby nie gapił się na nich, jeno na wybity na monecie obrazek.

– Wybaczcie, waszmościowie. – Zgiął się w ukłonie oberżysta. – To wy nie na lokację?

– My pokorni pielgrzymi w drodze do Krakowa – zełgał bez mrugnięcia powieką Gwalbert. – Pokłonić się szczątkom świętego Stanisława ze Szczepanowa. Gdzież nam na świeckie obrzędy, na których sposobności do grzechu więcej niż pcheł na psie?

Karczmarz zerknął na Czcibora, którego zwaliste cielsko i poorana bliznami twarz, sugerowały, że to pątnik dość późno nawrócony, ale pytań już nie zadawał. Grunt, że goście byli w posiadaniu gotówki.

Gwalbert uspokoił gospodarza, że przed przyjazdem księcia ruszą w dalszą podróż i już po chwili siedzieli z Czciborem w najdalszym kącie pustej karczmy nad barszczem, podpłomykami i garncem kwaśnego piwa. Gwalberta ogarniały coraz większe wątpliwości.

– Książę nie przyjedzie tu sam – szeptał nerwowo. – Ponoć zawsze chmarą ludzi otoczony. Próbować ubić go w takiej ciżbie to pewna śmierć. Może mu trucizny dosypać do jajecznicy?

– Otrucie Władysława zakrawa na niemożebność. – Czcibor z trudem ugryzł twardego placek. – Nie jeden, i nie dwóch pewnie przed nim próbuje każdego napitku i jadła. A gdzie to niby napisane, że tu i dziś mamy go usieć? Poszukamy lepszej okazji.

– Może z łuku ustrzelić? – zapytał Gwalbert.

– Chyba w kąpielni, jak goły będzie. Zawsze w hełmie i pancerzu, choćby skórzanym, paraduje, kolczugę pod płaszczami skrywa. Trza by w oko trafić albo w szyję. I to z bliskości.

– Angielczyki i Sasy na sto kroków wróbla w łeb podobno trafiają.

Czcibor zarechotał, aż się opluł barszczem.

– Daj Sasowi nasz łuk, to obaczymy czy z półsta kroków w stóg siana trafi...

– Oszczep?

– Myśl niezgorsza, podumamy.

Córa karczmarza dołała im piwa. Gwalbert aż się oblizał, wodząc po kibici dziewczyny opiętej ciasnym gieźtem. Karczmareczka posłała mu szelmowski uśmiech.

– Domyślam ja się, czemu ci klasztor nie był w smak – mruknął złośliwie Czcibor. – Takich smakołyków tam pewnie nie dają?

– Oj nie... – westchnął Gwalbert.

– Ochłoń trochę, jej mus tak kły szczyżyć i tyłkiem zarzucać, iżby nam więcej tej rzadkiej polewki wcisnąć. Powiadam ci ja...

Nie dokończył Czcibor, bo błysnęło, łupnęło, i wśród krzeszonych iskier, jakby spod powały spadł na klepisko człek w dziwną szatę odziany, ni to mniszą, ni to niewieścią. Czcibor z miejsca złapał za schowany pod ławą miecz, Gwalbert też namacał pod kaftanem rękojeść sztyletu, za to oberżysta z córką padli na twarze przed, jak zapewne tuszyli, samym biesem.

Osobliwy mąż wstał, otrzepał się nieco i, jakby rad z uczynionego wrażenia, wziął się pod boki.

– Który mamy rok? – zapytał, czym wszystkich wprowadził w nielichą konfuzję.

Czcibor zbaraniał, ale Gwalbert nie był w ciemnię bity.

– Od narodzenia Jezu Krysta tysiąc dwieście siedemdziesiąty drugi – rzekł powoli. – Ale licząc jak Żydowiny od stworzenia świata, będzie pięć tysięcy...

Przybysz przerwał mu przekleństwem.

– Prawie dwieście lat za wczas – wycedził gniewnie. – A czy to chociaż Żochy?

– Jakie znowu Żochy? – spytał Gwalbert. – To Żory.

– Niedobrze... Raz już trafiłem do Żar, raz do Żurów. Chyba muszę bardziej popracować nad wymową zaklęć.

– Słodki Kryste, czarownik! – zakrzyknął zalękniony Gwalbert.

Czcibor nie okazał strachu. Przytknął dziwnemu gościowi do szyi ostrze miecza.

– Rusz się choćby o piędź, a mózg ci ze ściany zeszkrobia.

Nie przejęty tym magik wymamrotał coś pod nosem, a Czcibora odrzuciło w tył. Wyrznął o brzeg stołu, upuszczając miecz. W jednej chwili zerwał się na nogi, ale już mu przeszło rzucać się z bronią ku niezwycajnemu przeciwnikowi.

– Spokojnie, dobrzy ludzie! – zawołał czarownik. – Siadamy za stołem, jemy, pijemy i gadamy. Dobrodzieju, jeszcze jedna miska i dzban!

Najlepszą izbę w chałupie sołtys Gotard użyczył swojemu nowemu suzerenowi, niepewny jeszcze, czy księżę Władysław ostawi go w Żorach i namaści na jakikolwiek urząd, czy też do strzemięcia rycerza Chwalisza wypadnie przypaść i prosić niedawnego włodarza, by jakąś posadę mu wyznaczył, choćby i w najdalszej wiosce ze swojej dziedziny. Nie uśmiechała się Gotardowi zamiana sołtysowego chleba na zwykły, bo ten zawszeć mniejszy, razowy i czerstwy.

Uroczyste przejście Żor w ręce księcia Władysława i ustanowienie ich miastem pokazało, że czego by o księciu nie mówić, to gest ma. Tęgo opili się tego popołudnia żorzanie i przyjezdni ufundowanym przez księcia piwem, kto miał szczęście ten usta zamoczył w reńskim winie, którego beczka, najpewniej przez pomyłkę, też trafiła w ręce rozradowanych mieszkańców. Dwa tuziny baranów, dziesięć świń i wół kręciło się na roznach, a pieczonych kur i kapłonów ciężko się było doliczyć, tak wielkie to były ilości. Nazajutrz pluli sobie w brodę ci niezbyt uradowani z nowej władzy i porządków, którzy ostentacyjnie zostali w chałupach, nie licząc, że Władysław cokolwiek postawi nowym poddanym. Tym wyżerka i popijawa przeszły koło nosa.

Gotard skłonił się do ziemi, kiedy z izby wychodzili kolejno księżę Władysław z doradcami i zbrojnymi, rycerz Chwalisz z przybocznymi, trzech duchownych i garbaty skryba objuczony pergaminami jak muł. Rzuciło się sołtysowi w oczy, że Władysław ani paradnego hełmu nie ma na głowie, ani lekkiego pancerza i pasa z klejnotami, w których, Gotard przysięgłby, księżę wchodził do izby, zanim zamknęły się drzwi.

Towarzystwo rozsiadło się w kuchni sołtysa, a Dobiesław w imieniu księcia zawołał o jadło i napitek. Gotard jęknął w duchu, że przecież wielcy państwo mieli wieczerzać w karczmie przy krakowskim trakcie, a tu wyszło na to, że opiją go i obezrą do żywego. Jedyna nadzieja, że, jak pan Bóg przykazał, za wszystko zapłacą.

Zrozpaczony Gotard z żoną i dziećmi wynosili na stół jedzenie z komory i nawet nie spostrzegli, że z chałupy ulotnił się Zbyszko z workiem na plecach.

* * *

– Ależ to paskudne! – skrzywił się czarownik, ale wlał w siebie resztkę piwa. W gardle mu zaschło od opowieści, w której Gwalbert z Czсібorem gubili się jak w najdziwniejszych ostępach. Osobliwie Czсібora pojmował niewiele lubo wcale. Niezwyczajny przybysz dziwaczną nieco rozprawiał polszczyzną, ale dawał się rozumieć.

- Toż to pewnie grzech śmiertelny tak z czarcią pomocą w czasie wędrować? - Gwalbert kręcił z niedowierzaniem głową. - Pomyślunkiem tego nie objąć.

- Skoro od tego, co było, do tego, co będzie, droga jak z Gniezna do Krakowa, nie przymierzając, czemu jej nie przebyć? I to raz tam a raz na powrót?

- Niby prawicie - z ociąganiem zgodził się Gwalbert. - Tyle, że czarostwo piekłem śmierdzi na stajanie.

- Gdy o dobro kraju idzie, bywa, że ręce wypadnie umazać tak w gnoju jak i w grzechu. - Wzruszył ramionami magik. - Skoro z przyjacielem moim uznaliśmy, że gra świeczki warta, popróbowiałem.

- O tym dobru kraju, to jużem się ostatnio nasłuchał - ozwał się milczący dotąd Czycibor. - I dalej nie wiem, co o tym dumać.

Gwalbert miał tyle zapytań do czarownika, że nie wiedział od czego zacząć.

- A król waszą Polską władający to z Piastów aby? Jakiś potomny naszego Przemysła?

- Przykro mi, młody człowieku... - smutno uśmiechnął się pod siwym wąsem gość z przyszłych czasów. - Ale król Zygmunt z Jagiellonów.

- A co to za jedni? - zdumiał się Gwalbert.

- Ech, jak wam powiem, że on potomkiem pogan, a książę Butywid to jego daleki krewniak, pewnie nie uwierzycie?

- Że co? - Gwalbertowi opadła żuchwa. - Że niby Polską będą władać pociotki litewskich bałwochwalców?! Tego nawet słuchać się nie godzi...

- Cóż mogę rzec? - Wzruszył ramionami czarownik. - Świat się zmieni, Polska się zmieni. A już najwięcej krwi napsują te ścierwa krzyżackie, co je głupi Konrad z Mazowsza na chełmińską ziemię zaprosił, iżby pogan zwalczali.

- Panie, nie obrażajcie w mojej przytomności zacnego Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie!

- Posłuchaj, smarkaczu - wycodził dziwny przybysz - Wiedz, że ja w czasie podróży, iżby się w przyszłości nie narodziły różne krzyżackie wycirusy, wywłoki na służbie tej zarazy z czarnym krzyżem i pawim czubem! A w Żochach mam ukatrupić przyszłą matkę Michała Brody, który, jako sługus Wolfa von Schönburga, zbrodniami na jeńcach w Międzyrzeczu i Skwierzynie się wstawiał! Nie urodzi się on, zaoszczędzimy sobie kłopotu w przyszłości! Jak mi się uda do Altenburga w stosownym czasie trafić, to w kołysce łepetynę skręcę małemu Dietrichowi, by jako dorosły nie bruździł księciu Łokciowi pod Płowcami. Pojmujecie?

Gwalbert poczuł, że zaczyna go trawić gorączka, ale nie od wczorajszej przymusowej kąpieli w błocie, do którego wepchnął go Czcibor przed atakiem domniemanego Mongoła. Głowa po prostu mu się gotowała od opowieści czarownika. Przerabiał ją w swoim, nieprzeciętnym na owe czasy, umyśle, a ten mącił mu się i mącił. Młodzieniec złapał się za skronie.

– Jeszcze raz – rzekł z wysiłkiem. – Zgodnie z tym, co prawicie, jeśli jutro ruszymy na Litwę, zacukamy kniazia Butywida i całą jego rodzinę bliższą i dalszą, tak żeby z rodu żywa noga nie uszła, to kiedyś tam nie będzie żadnego króla Zygmunta władającego Polską?

– Jako żywo. – Skinął głową czarownik, mocno zadziwiony przenikliwością Gwalberta. – Łeb nosicie nie od parady, rzekłbym nawet, że się marnujecie w tych parszywych czasach. Mój wielki przyjaciel, Mikołaj Kopernik, na łożu śmierci leży i z moją pomocą domyka sprawy i rachunki. A iżby niektóre zamknąć, w czasie podróży trzeba było popróbować...

– Czyli i my polujemy, i wy – mruknął przytomnie Czcibor. – Jak wasze miano?

– Bartosz z Szamotuł.

– Ale zasmuciliście mnie, panie. – Gwalbert wysiorbał resztkę barszczu z miski. – Bo to widno świat tak się zmieni, że niby chrześcijańscy władcy na usługach będą mieli bezbożnych czarowników. Hańba i sromota!

– Wypraszam sobie! – podniósł głos Bartosz. – Ja jestem kanonikiem i egzorcystą! A że mam zajęcia poboczne, to już insza inszość.

W chwili ciszy która nastąpiła, biesiadnicy usłyszeli dobiegający z oddali tętent kopyt. Czcibor zerwał się z ławy i podbiegł do drzwi. Przytknął oko w szczelinę między balami, skąd miał dobry widok na drogę przed karczmą.

– Jada! – zawołał.

– Ilu? – trzeźwo spytał Gwalbert.

– Z Władysławem dwóch, no i Zbyszko na dokładkę. Przeklętnik niczego się nie boi, skoro jeno samoczwart podróżuje. Ale zdziwi się, oj, zdziwi.

– Panie, co zamierzacie? – zatrwożył się karczmarz. – Nie róbcie mi tu jatek, bo książę mię spali!

– Siedź cicho, bo i tobie krwi upuszczę! – zagroził Czcibor. – I pan Bartosz też niech nie myśli się wtrącać.

Karczmarz z córką i rzekomy przyjaciel kanonika Mikołaja Kopernika przycupnęli pod ścianą, niemal w nozdrzach czując krew, która jeszcze nie popłynęła. Czcibor z obnażonym mieczem przyczaił się po jednej stronie dźwierzy, Gwalbert popluł w palce i ujął sztylety za ostrza, gotów do ciskania nimi w zeskakujących już z koni na podwórku zbrojnych.

Skrzypnęły wrota karczmy, Czcibor trzasnął od góry pierwszego wchodzącego, ale ten, jakby zawczasu wiedział, co go spotka, zasłonił się własną klingą, aż zazgrzytały ostrza. Niemile zaskoczony Czciboromalże nie upadł na glinianą polepę. W cios włożył całą siłę, ale utrzymał się na nogach. Nie musiał poprawiać, bo świsnął sztylet i zbrojny zwał się na ziemię, ugodzony w krtań. Drugie ostrze Gwalbert wypuścił w męża z czerwonym wiechciem na hełmie, który, wraz z nabitym kosztownościami pasem, zdradzał, że to książę Władysław, ale chybił. Ów rzucił się w stronę rozbrojonego Gwalberta, ale Czcibor podstawił napastnikowi nogę, a gdy Władysław upadał, wbił mu sztych w plecy. Miecz niemiło zapiszczał, rżnąc kółka kolczugi i skórzany kaftan, a z ust obalonego buchnęła fala krwi. Czcibor z Gwalbertem przyczaili się na następnych dwóch, ale ci ani myśleli wchodzić do karczmy. Wiedziony złym przecuciem Czcibor odwrócił księcia na plecy i zerwał mu z głowy hełm. Wytrzeszczone w agonii oczy trupa spoglądały na Czcibora, który przysięgłby, że w nich jakaś drwina się czaiła.

– Zdrada! – zawrzasał Czcibor, zrywając się na równe nogi.

Gwalbert spojrział pytająco na towarzysza.

– To nie książę! To przebieraniec! Władysław miał ślepie czarne jak smoła, a u tego błękitne!

Młodzian zrozumiał i złapał się za głowę.

– Podpuścili nas... – wyszeptał. – Złapali jak borsuki we wnyki...

– Hej, wy tam! – dobiegł ich głos z podwórza. – Wyłazić bez oręża! Karczma otoczona, pół setki chłopów czeka na was. Łapy w górę i powoli ku nam!

– Ty żeś to, Zbyszko? – odkrzyknął Czcibor. – Zaprawdę, chytrze wydumane. Widać, żeś w służbie Władysława rozumu nabrał.

– To ja! Od smolarzy przybył umyślny, to was od razu na oku mielim! Psy wojewody Przedpełka!

– Jeszcze odszczekasz, bękarcie, jak cię rycerze księcia Przemysła na pal wbiją!

– Jużście księciem tego dzieciucha uczynili? – zadrwił Zbyszko. – Z nas dwóch, tobie pierwszemu męki przeznaczone. Wyłazcie!

Gwalbert westchnął w duchu, że niegorsze miał życie, choć krótkie. Pojadł, popił, książkę poczytał, młódek trochę naobląpiał, a trzy nawet wychędożył. Żal było umierać. Czciborem aż tak wspominki i rozterki nie targały. Zwykła to była rzecz. Raz zabijasz, raz cię zabijają. Podał Gwalbertowi miecz wojaka, który udawał księcia.

– Rzuć się na niego, to żaden wstyd, po co mają cię męczyć? – rzekł ponuro. – Ja już tam tak z nimi zatańczę, że będą mnie musieli ubić. Żywego nie dostaną.

- Z wami pójdę. - Gwalberta ścisnęło w gardle. Czcibor tylko pokiwał głową.

Spod ściany pewnie powstał nagle Bartosz z Szamotuł.

- Panowie, po co to smutne przedstawienie? Złapcie mnie za ręce, spróbujemy się wydostać.

- Z pomocą samego diabła w podróż przez wieki ruszać? - zdrygnął się Gwalbert. - Toż to grzech!

- Przymknij ty się lepiej, smyku - polecił Czcibor. - Diabeł nie diabeł, jeszcze głowy z tej przeklętej wyprawy możemy unieść. Za ręce, powiadacie?

Bartosz skinął głową. Gwalbert z Czciborem chwycili go za dłonie, a ten począł mamrotać zaklęcie w jakimś nieznanym języku. Poczuli, jakby wir ich porwał rzeczny, a w uszach zadudniło aż do bólu w głowach. Kiedy otwarli oczy, zataczali się z wysiłkiem po ogromnym placu otoczonym kolorowymi budynkami, jakich w życiu nie widzieli. Równy był plac jak stół, wyłożony kamieniami niezwyklej regularności. Z cokołu spoglądał na nich posąg męża z krzyżem i aureolą. Cudacznie odziany człek stał obok nich i przemawiał do dziwnej maczugi, którą dzierżył w dłoni.

- Są już pierwsi przedstawiciele grup rekonstrukcyjnych, które podziwiać będziemy na tegorocznym Jarmarku Władysławowskim. Niestety, po raz kolejny ponawiamy nasz apel do władz miasta, o jakiegokolwiek działania regulujące sprzedaż napojów alkoholowych...

Pierwszy złapał równowagę Bartosz z Szamotuł.

- Wiecie co? - Rozejrzał się kanonik. - Nie podoba mi się tu. Spróbuję jeszcze raz trafić w wasze czasy.

Znowu chwycili się za ręce, a Bartosz wypowiadał pod nosem zaklęcia. Na nowo wpadli w mącający głowy wir, uszy wypełnił znajomy szum, tym razem rozdzieliło ich w osobliwej podróży.

- Co wam to? - Nawoj potrząsał Czciborem i popatrywał na Bogusza. - Zastabliście, czy ki diabeł?

- Diabeł? - Czcibor otrząsnął się, jak po wyjściu z wody. - Znamy się i z diabłami...

- Lada chwila Przemysł księciem na Poznaniu zostanie - prawił Bogusz. - Najbardziej zasłużonym ziemię nada, może rycerskiego chleba popróbujecie? Przecie ród wasz nie z chłopów, a z zubożałych wiek temu władków.

- Nie pojedę do Żor - twardo rzekł Czcibor. - Tam już Władysław na wszelkie skrytobójstwa przygotowany. Podobnych sobie powierzchownością we własne szaty

przebiera i w swój oręż uzbraja. Nigdy nie wiadomo, czy to księżę we własnej osobie, czy jeno ktoś go udający.

– Skąd to wiecie? – zdumiał się Nawoj.

– Wiem i już.

– Poszukamy kogo inszego. – Bogusz rozłożył ręce.

– Na śmierć pewną pójdzie. – Czciwor wstał od ogniska. – Wybaczcie, panowie, trzeba mi pogadać z waszym sługą Gwalbertem. Gdzie go znajdę?

Tego już Nawojowi i Boguszowi było za wiele. Skąd ten zawadiaka znać mógł Gwalberta, który ledwo co wczoraj przyjechał z Moguncji z pismami arcybiskupa Wenera do Jakuba Świnki? Widno nie wszystko o nim wiedzieli, choć już dawno temu wybadali o niego starannie.

– Czyli nie zapolujecie na Władysława?

Czciwor przecząco pokręcił głową. Wyszedł z lichej chaty sposobić się do jutrzejszych łowów.

Coś przecie ci królewscy rycerze musieli jeść.

Tak kończy się ta niezwykła historia, o której milczą kronikarze, czy to z przyrodzonej modestii, nie pozwalającej w piśmie oddać wydarzeń, w których tak silny byłby splot wielkiej polityki, ogromnych ambicji, ludzkich małości, magii i podróży w czasie; czy to ze zwykłej chęci ukrycia przed przyszłymi pokoleniami, że czasy przez nich opisywane wcale takie piękne i zacne nie były?

Kończy się opowieść o jedynym bodaj przypadku w długiej historii wieków średnich, kiedy to zamachowcy, zastawiający pułapkę na swą ofiarę, wjechali do wsi, którą, w ciągu zaledwie jednej doby, opuszczali, gdy nominalnie była już miastem, na mocy aktu lokacyjnego i słów księcia Władysława: *In haereditate, quae Sari vulgariter nominatus, decrevimus construere civitatem.*